

Katarzyna Kleczek

**Nie-NAD zwyczajny świat, czyli co nieco o Sandaczu uciekającym z patelni
[Piotr Cegiełka, Sandacz w bursztynie, Kraków 2005]**

„Dzisiejszy czytelnik jest taki, że bierze książkę do ręki, ściska ją palcami, i jeśli spomiędzy kartek nie zacznie na podłogę skapywać sperma przesiąknięta zapachem damskich perfum, to odkłada książkę na półkę i wychodzi, nic nie kupując”.

(Piotr Cegiełka, Sandacz w bursztynie)

Ha!art przyzwyczał mnie już trochę do światka gejów i lesbijek, dlatego też sam tytuł – *Sandacz w bursztynie* – nasunął mi jednoznaczne skojarzenia. I tak „sandacz”, choć ryba, ze względu na swój falliczny kształt dość szybko sprawił, że moje myśli zeszły od razu na tor „skojarzeniowy”, a i „bursztyn” nabrał nowego znaczenia (samo zaś połączenie tych słów przyimkiem „w” stworzyło dość lubieżny duet). Tak właśnie, zarówno niewinna ryba, jak i kamień, o którym śpiewała w latach osiemdziesiątych bodajże Natalia Kukulska, stały się jak najbardziej erotyczne, oczywiście w kontekście homoseksualnym.

Jednak... fani Patrycji czy Lukrecji mogą się zawieść opowiadaniem Cegiełki. Nie ma tu bowiem ani jednego geja! Ani trochę ciot, pedałów, pikiet! Ani krzty „luja” czy też „pozytywnego” (chociaż, biorąc pod uwagę potencjał seksualny Bohatera, można by się zastanawiać, czy aby nie należy do ich grona). Nie ma też tej lekkości ani polotu wypowiedzianych zdań, mimo zapewnień jednego z bohaterów, iż „odpowiedniego brzmienia, melodii” zawsze poszukuje „w nazwach wszelakich”. Jeśli szuka czegoś, co ma „symetrię” i nie jest „kanciaste”, to raczej nie znajdzie tego w swoich opowiadaniach, bynajmniej nie w sferze języka, bo ten często przypomina słowa, jakimi się posługuje uczeń początkowych klas podstawówki. Nie mówię, że nie ma to czasem swojego uroku, jednakże czytanie o codziennych czynnościach, jakie

wykonuje à la kafkowski *everyman* czy też Roland Robert, ma prawo znużyć nawet najbardziej cierpliwego czytelnika. Ma prawo – czyli może, ale nie musi.

„Większość z tych utworów utrzymana jest w poetyce sennego horroru. Nieodmiennie tekst zaczyna się realistycznie, szybko jednak okazuje się, że nad losem bohatera ciąży jakieś fatum” – to opinia M. W. znajdująca się na odwrocie książki opis Michała Witkowskiego znajdziemy na odwrocie książki. Tak – zgodzę się, że w tym debiutanckim zbiorze akcja rozwija się na początku bardzo niewinnie, jednak mam uwagę do słowa „nieodmiennie”, które według mnie nie może dotyczyć opowiadania *Papazan*. Nie ma w nim nic nadzwyczajnego, po prostu – wszystko dzieje się „tak jak powinno” – żadnych karłów ze szklanym okiem, żadnych aniołków, które okazują się tymi karłami, słowem – nuda, nic się nie dzieje. Jedyłą anormalnością jest... umieszczenie tego opowiadania na końcu zbioru, gdzie reszta pozostaje w porządku chronologicznym. I tak na początku i na końcu mamy rok 1999. Zastanawiam się, czy ten zabieg był celowy. Nazwać to pięknie „ramową kompozycją utworu”? A może autor poprzez umieszczenie tego „nienadzwyczajnego” opowiadania w tym, a nie w innym miejscu miał na celu uświadomienie czytelnikowi, że tak naprawdę są „hepi endy”? Że w tym dziwnym świecie, w jakim istnieją jego bohaterowie zmagający się z najprzeróżniejszymi problemami i osobami, jest miejsce na normalność? Na rzeczywistość bez perwersji i tego, co niesamowite, przerażające, co wyłazi z podświadomości i oblepia każdą naszą myśl i każdy nasz czyn.

A tego, co oblepia, co niesmaczne, przerażające, u Cegielki ci dostatek. Bo tak – niby wszystko biegnie torem, jakim powinno, ale później wpada w dziwne, niewytłumaczalne zawirowania. Niby świat normalny, ale osoby, którym przyszło w nim żyć, jakieś takie dziwne. Niby wykonują czynności typowe dla zwykłych obywateli świata (jakiego świata? plockiego?), ale w pewnym momencie zaczyna nas w nich coś niepokoić. Bo jak często można opisywać robienie kanapek, branie kąpiel i czynności, które wykonujemy na co

dzień, a nie przywiązujemy do nich nawet najmniejszej wagi? A i tak, cytując z opowiadania znajdującego się na początku zbioru: „zautomatyzował się. Każdy dzień Rolanda wyglądał tak samo jak poprzedni, a każdy poprzedni jak ten, który go poprzedzał. I tak wstecz, do nieskończoności, aż po schodach dni Roland schodził w głąb piwnicy pamięci tak nisko, że nic już nie potrafił sobie przypomnieć”¹.

W pozostałych (z wyłączeniem wspomnianego *Papazanu*) opowiadaniach wszystko biegnie już swoim torem, czyli od normalności do wariactwa: misterne plany, niewyjaśnione wydarzenia, mroczne zakątki. Nawet sam tytuł, który tak pięknie ułożył mi się w głowie na samym początku, okazuje się czymś innym. Czym? Na to pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć. Ten świat zdaje się pozbawiony jakiegokolwiek sensu i logiki. Sandaczem może być „niebieski bojownik” w akwarium, który w niewyjaśnionych okolicznościach przyrody znika narratorowi z patelni. A przy nim bursztyn wydaje się w tym momencie jeszcze bardziej abstrakcyjny i niedorzeczny. Fakt faktem – Cegiełce czasem udaje się stworzyć dość osobliwe opisy, które potrafią wybić z ogólnej monotoni, jakiej dostarcza w swoich opowiadaniach. I nie żebym musiała sześćdziesiąt sześć razy o tym przypominać... (trudno nie zauważyć, że akurat ta liczba pojawia się, na szczęście „tylko” trzy razy, przeliczona od początku do końca w jednym z opowiadań – czy to kal(e)ka diabelskiego 666 wskazująca na istnienie sił nieczystych?).

Czy także pod względem opisywanych czynności Cegiełka chce wiernie i dokładnie, jak przystało na czwartoklasistę, oddać przebieg wydarzeń? Hola, hola, nie tak łopatologicznie, bo mimo że momentami książka może się wydawać wręcz manifestacyjnie nużąca, to jednak da się w niej nieraz odnaleźć motywy, które zaskoczą czytelników i sprawią, że poczują się oni co najmniej nieswojo. Ja to poczułam w momencie, gdy Roland Robert, ot tak, skopał biedną kierowniczkę biblioteki zamykającą swe pracownicze pomieszczenie, a która w

¹ Piotr Cegiełka, *Sandacz w bursztynie*, Kraków 2005, s. 19.

ostatnich chwilach swego życia zdołała jeszcze wygłosić, niebędący już na miejscu, tekst o miłości ludzkiej i takich tam. Na pewno nie mogła przeżyć tęgich razów, jakimi ją poczęstował Robert Roland czy też Roland Robert, bo niby zrobił to Roland, ale równie dobrze mógł to zrobić i Robert. Nie mówiąc już o tym, że czytelnikowi nieszczególnie zwracającemu uwagę na imiona bohaterów może się wydawać, że opowiadanie traktuje o jednej i tej samej osobie. I tak też chyba jest, o czym świadczy swoista zamiana ubrań i specjalnego aparatu służącego do tłumaczenia mowy. Aparat do tłumaczenia mowy? Tak właśnie, a raczej „Einšalw kat” jakby to powiedzieli Robertowie Rolandowie, czy też Rolandowie Robertowie. A może... właśnie tak?

Łączenie erotyzmu z rozkładem, mało wysmakowane opisy, ciągle zmiany wskazujące na osobę mówiącą/myślącą (raczej już nie *homo sapiens*, a *homo erectus*) nasuwają kolejne podejrzenia co do zdrowia psychicznego nie tylko bohaterów, lecz także Bohatera opowiadań. Można się pokusić o wysnucie teorii Bohatera poprzez poszczególne wydarzenia, jak i poprzez język, jakim się posługuje. To niedopilnowane przez ojca (tak – ojca, nie matki, bo o jej śmierci dowiadujemy się na początku) wizyty u logopedy, schizofrenia czy najzwyczajszy alkoholizm. Bo faktu, że nasz *everyman* lubi się napić, ani że ma problemy z wiernością, nie da się ukryć (zatem do litanii dochodzi jeszcze seksoholizm, co brzmi już naprawdę poważnie).

Bohaterowie pierwszego, trochę przydługiego opowiadania, nie stanowią sami w sobie ciekawych osobistości. Interesujące są natomiast wydarzenia, w których uczestniczą. Nie mają oni najmniejszego wpływu na to, co się wokół nich dzieje i zdaje się, że tylko napotkane przez nich osoby, mogą zmienić bieg rzeczy. Wydaje im się, że coś istnieje, że coś wygląda tak, jak powinno, a okazuje się czymś zupełnie innym. Ta swoista przypadłość pojawia się niemalże w każdym z opowiadań. Wystarczy pomylić się co do głosu usłyszanego w słuchawce – młody, ale nie do końca, bo jego właścicielką jest... starsza pani. No tak – przecież każdy może się pomylić. Ale jak obrzydliwy karzeł, który

boleśnie gryzie Rol(1)anda może się podawać za prześliczną dziewczynkę, dostawcę gazet? Jak – skoro Rol(1)and widział grzecznego aniołka, a karzeł (jeszcze z okiem) twierdzi, że to on był dostawcą dla gryzipiórka? Dom na „wolnejnadziei34” pilnowany przez... Iwa Maxa, a w dalszych opowiadaniach: gazeta z datą zmieniającą się w zależności od tego, kto o niej mówi, mężczyzna w pociągu czytający niezapisaną księgę itd. To wszystko trochę przypomina głupawy wierszyk, jaki opowiadały kiedyś dzieci: „W słonecznym cieniu na miękkim kamieniu siedziała młoda staruszka, nic nie mówiąc rzekła...”

Wrony, które mi najbardziej przypadły do gustu, i to nie dlatego, że zajmują niewiele miejsca (3 strony) – tym samym Cegielka nie mógł znaleźć miejsca na przynudzanie – stanowią chyba najmroczniejsze z opowiadań. Nie dość, że dedykowane „wszystkim wstrętnym dziewczynom”, to jeszcze zawierają w pigułce niemalże wszystkie motywy pojawiające się w całym zbiorze. Seks, papierosy, łazienka, niewydarzone wydarzenia... A dodatkowo ta „wstrętna dziewczyna” z wygryzionymi przez ryby oczami i kawałkiem policzka. I ta żaba wpełzająca jej do pochwy. Wymioty i inne biologiczne odruchy... wszystko, co oślizgłe, obrzydliwe, niesmaczne, przerażające.

Oczywiście, można czytać te opowiadania w dowolnej kolejności, jednak czytając od deski do deski i ślepy by dostrzegł, że coś je łączy. Nie chodzi tylko o bohatera, który pojawia się w każdym z nich, a zmienia jedynie imię, raz będąc Rolandem czy Robertem, raz przypominającym Kafkowskiego Józefa K., któremu ktoś, nie wiadomo kto, zabrania wychodzenia z mieszkania i spotkania się z kimkolwiek, narzucając swoisty areszt. Jak najprościej można by ich opisać? Niezaprzeczalnie – jako palaczy setek papierosów, jako tych, którzy piją litry alkoholu i zdradzają, zdradzają, zdradzają. Co ciekawe, o zdradzie dowiadują się dopiero w momencie, gdy przyłapują swojego partnera *in flagranti*. A i tak ich reakcja na zastaną sytuację jest co najmniej dziwna. Kończy się na przykład jajecznicą, a następnie uknuciem misternego planu przez kochankę kobiety wraz ze zdradzonym. Przypominać to może

gombrowiczowską walkę na strzelby bez nabojów. Walkę tym dziwniejszą, że toczoną przez dwie kobiety o jednego mężczyznę, a kobiety te to nie byle kto – są nimi: ta, która zdradziła oraz... prostytutka, znaleziona przez kochanka tej pierwszej pod balkonem. Kurwa, którą ma sobie wybrać bohater, a zostaje mu wybrana... dość wybrakowana, i na dodatek sześćdziesięcioletnia.

Kobiety? Najlepiej o wąskich ramionach, pomalowane krwistoczerwoną szminką właścicielki zielonomorskich oczu, i najlepiej żeby nie były tak tępe, jak Barbara, ale by jej dorównywały w łóżku (i nie, żeby bohater nie kochał swojej wybranki... ona tylko nie dawała mu tego, co mogła zaoferować Barbara... zresztą ta pierwsza też się zadowalała w szczególny sposób, przy pomocy „przyjaciela na baterie”). Najlepiej, żeby nie było czuć od nich trupem, jak od ponętnej (ale tylko do czasu) bibliotekarki, której sterczące sutki wprawiają w zachwytny narratora. Miło będzie, jak będą sobie zwilżać palce swoim własnym śluzem, a jeszcze milej, jak nie będzie od nich oddzielała niewidoczna szyba blokująca dojście do zaspokożenia seksualnego. Barbara, Rita, Olga, Judyta... itd.

Pomysły Cegiełki przypominają momentami pomysły Gombrowicza (choćby ta walka), Kafki czy też Becketta. Nierealność sytuacji objawiająca się na przykład w wyjeździe nie wiadomo dokąd, zakończonym obiadem z dziwnym towarzystwem, które zdaje się cały czas kontrolowało bohatera, a po drodze pogoń za miotaczem hamburgerów, w wyniku której tylko przy ogromnej dozie szczęścia uda się przeżyć staruszce uciekającej przed nadjeżdżającym samochodem, rozdeptana przez nieuważnego przechodnia główka jednego z bliźniaków, któremu „wypadło” się z wózka po tym, jak przewrócił matkę, spinka o morderczych właściwościach wręczona przez już nieżyjącego sąsiada M., kondukt pogrzebowy bez „bohatera głównego” w postaci trupa... Absurd, groteskowość i *fantasy*.

Pomimo całej listy skarg i zażaleń ten debiutancki zbiór, który początkowo pojawił się w nakładzie dokładnie 101 sztuk, zwraca na siebie

uwagę. Mimo że czasem zdaje się zbyt nudny, nawet dla tego, kto się nie nudzi w wannie, potrafi zaskoczyć – to *Eddą poetycką*, to spermą spływającą na dywan czy też Telekomunikacją Polską SA. Mnie najbardziej zadziwia fakt korzystania w roku 2000 z budki telefonicznej, a chyba jeszcze bardziej oczekiwanie na kupno karty z łamanym rogiem. Komórek nie było, czy jak...?